



PANORAMA
 40-093 Katowice, ul. Młyńska 1

3 1-09-85

665

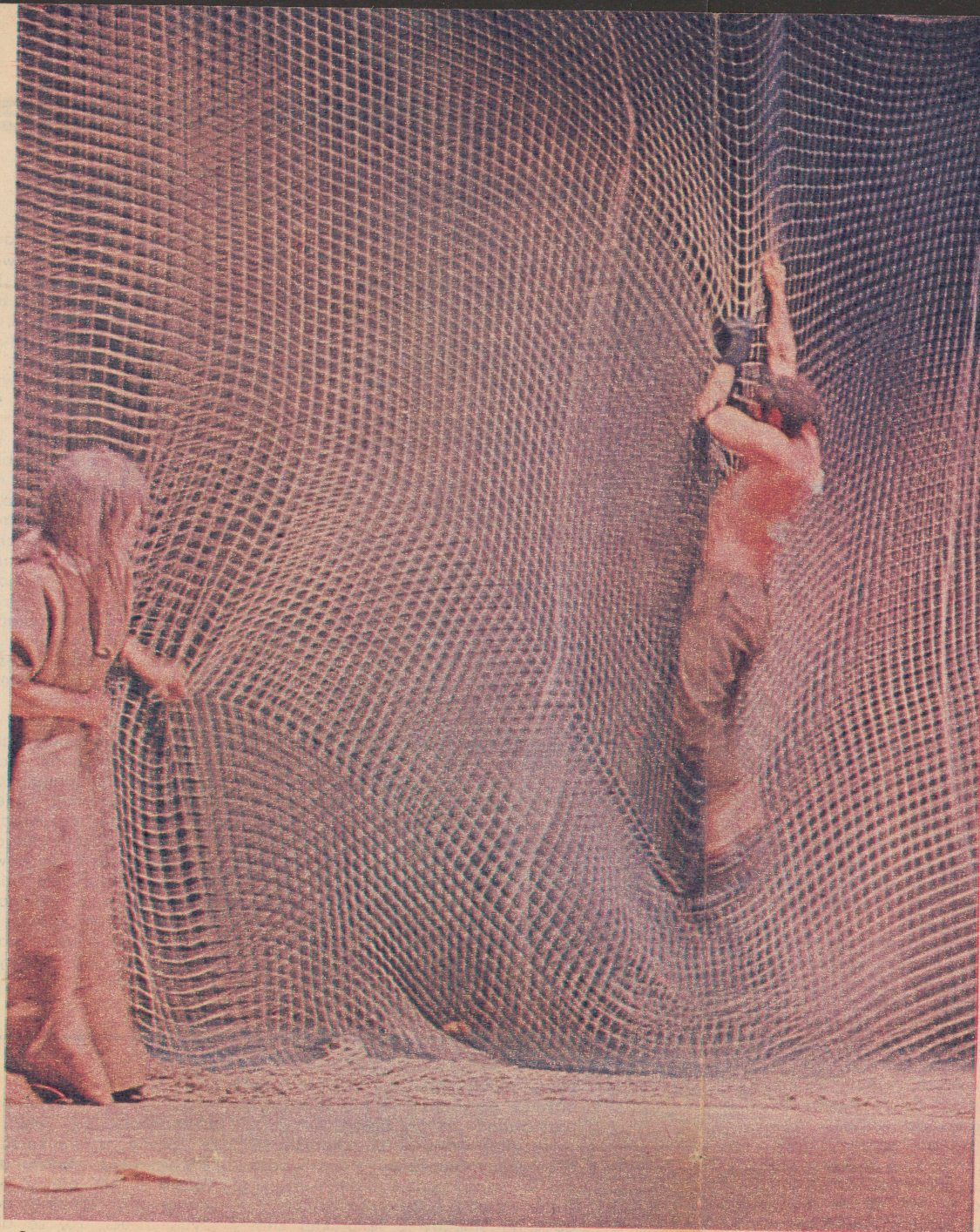
Rozmowy z twórcami



JÓZEF SZAJNA:

Scena, teatr nie jest iluzją życia, jest czasoprzestrzenią, jest czymś niedomówionym. Jeżeli na scenie jest błoto, to dlatego, że jest to błoto, które sięga duszy bohatera, a nie dlatego, że scenograf czy reżyser wpadli na taki pomysł.

Zdjęcia: Wojciech Plewiński, B. Rózyć, ARC



„Cervantes” — scen. i reż. Józef Szajna, Teatr Studio, 1976 r.



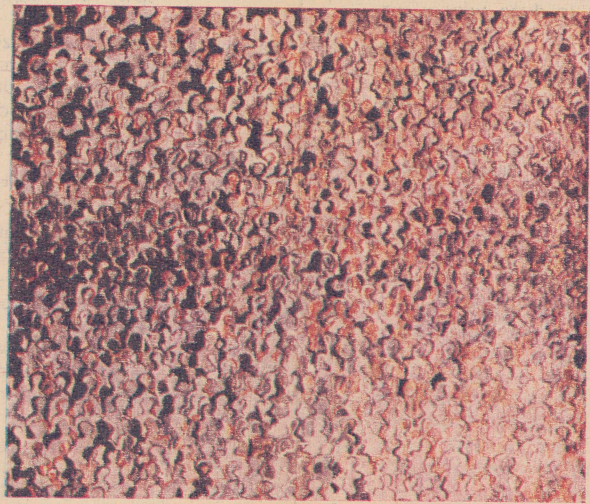
„Replika IV” — scen. i reż. Józef Szajna, Teatr Studio, 1973 r.



„Majakowski” — scen. i reż. Józef Szajna, Teatr Studio, 1978 r.

TEATR ODBYWA SIĘ WE MNIE

TEKST CZYTAJ NA STRONIE 18



Mrowisko — technika mieszana, 1984 r.

Epitafium, 1967 r. Praca znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie



Projekt scenografii do sztuk nie-napisanych



Sciana butów — obiekt

TEATR ODBYWA SIĘ WE MNIE

CIĄG DALSZY ZE STR. 17

— Profesor, artysta, malarz, grafik, scenograf, reżyser, autor scenariuszy, teoretyk teatru — przepisuję to „dossier” z „Who is Who”. Jak na jednego człowieka nie ma.

— Człowiek powinien mieć dwa uniwersytety: życia i wykształcenia. Gdy się to sprzgnie, gdy się złoży jak lewa do prawej ręki, to wtedy można powiedzieć o świecie nieporównanie więcej, można ogarnąć większy czas i przestrzeń. Jestem artystą w tym znaczeniu, że mogę pracować w różnych dyscyplinach. Kultura, sztuka, życie społeczne mieszczą się w jednym obrazie mojego życia. Przyszło mi żyć w ciekawej epoce, życie miałem i nadal mam bogate. Przeżyłem II wojnę światową bardzo czynnie i to sobie cenię — i nie chcę zapomnieć swojego — powiedziałbym — ładnego życiorysu. Człowiek rodzi się w walce i albo zwycięża, albo zostaje pokonany.

— Pana biografowie jednomyślnie podkreślają, że pańska twórczość wyrasta z poczucia zagrożenia śmiercią. Przypomnijmy, że jako 17-letni chłopak walczył pan w podziemiu, a potem znalazł się w Oświęcimiu i Buchenwaldzie, które stały się dla pana parabolą współczesności.

— Ci którzy pakują mnie w pasiaki jakby zazdrościli mi tego, że sami nie mieli „szansy” przeżyć tego okresu, kiedy trzeba było wybierać między życiem a sztuką. Może mi ktoś tego zazdrości albo być ciekaw tego co się nazywa spojrzeniem panu Bogu w oczy, znalezieniem się w sytuacji ostatecznej. Ale ja tworzę obrazy, teatr poetycki drugiej połowy XX wieku, a obecnie zagrożenie jest większe niż w 1939 roku. To co może się stać dzisiaj przekracza jakiegokolwiek wyobrażenia. Ja się już naśmiałem, nabawiłem i wydaje mi się, że jestem stworzony do walki i niepokoju. Wciąż jestem w tym samym ruchu przeobrażeń. A skoro tak, to nie mogę mówić o sprawach ostatecznych, które są jakby w czwartym wymiarze, nie zaczepiwszy o metafizykę. Wiedział to Witkacy, i Rafael, i Leonardo da Vinci, i Szekspir, i Beckett — wszyscy, włącznie z naszymi romantykami. Człowiek wadzi się nawet z Bogiem, wydaje mu się, że szuka sprawiedliwości, zdając sobie sprawę z niesprawiedliwości świata. W moich obrazach jest więcej diabłów niż żołnierzy.

— Jest pan artystą, który w świadomości społecznej funkcjonuje głównie przez teatr. Ale nie jest to teatr tawny, wymaga współpracy widza i pewnego oswajania się z odmiennym trybem poetyki na co nie każdy może i ma ochotę się zdobyć. Powiedział pan kiedyś: Nie chcę by moje przedstawienia się podobały. Podobać się może „Mawowsze” albo koncert beatowy. Jakie więc funkcje przypisuje pan swojemu teatrowi i czym jest „szajnistwa”?

— Jedni uznali, że „szajnistwa” jest zjawiskiem oryginalnym, inni że „szajnistwa” to „szmacizm”. Formalistą byłem, rewizjonistą na polu sztuki też. Sztuka jest w moim rozumieniu próbą porządkowania

chaosu, żywiołu. Ale ja chcę też być zaangażowany w to co się dzieje aktualnie — z wyciągnięciem wniosków na przyszłość. Najczęściej robiłem w teatrze moralitety, ale nie w rozumieniu teatru politycznego, który ciągle wadzi się z polityką. Moje zainteresowanie polityką zaczęło się w 1939 roku, a potem ciągle czegoś mi nie wolno, ciągle biorę za coś w skórę. Kiedy myślę o współczesnym moralitecie muszę zawsze zadać innym pytania: kim właściwie są w życiu — idealistami czy egoistami, a może tylko oportunistami? Jeżeli w każdym człowieku istnieje jakaś agresja, to ja obracam ją dla dobra człowieka, podczas gdy

JÓZEF SZAJNA — ur. w 1922 roku. Ukończył Wydział Grafiki i Wydział Scenografii ASP w Krakowie. W latach 1963—66 był dyrektorem i kierownikiem artystycznym Teatru Ludowego w Nowej Hucie. W 1971 roku objął dyrekcję i kierownictwo artystyczne Teatru Studio w Warszawie. Twórczość artystyczna Szajny wielokrotnie była nagradzana w kraju i za granicą, także na licznych festiwalach plastycznych i teatralnych. Jego prace znajdują się w wielu muzeach i kolekcjach prywatnych. Najważniejsze przedstawienia teatralne: „Witkacy”, „Gułgutiera”, „Replika”, „Dante”, „Cervantes”, „Majakowski”.

polityk robi to często przeciw człowiekowi.

— Czy jest pan zatem zwolennikiem teatru, który reaguje bezpośrednio na to co się dzieje wokół, czy raczej uważa pan, że teatr jest miejscem, w którym sprawdzają się wartości ponadczasowe?

— Oczywiście wierzę w tę drugą funkcję teatru, choć warto pamiętać, że te wartości ponadczasowe mogą pod wpływem chwili zabrznieć mniej lub bardziej aktualnie. Często zresztą w tej aktualizacji mamy skłonność do przesady. Teatr jest sztuką zdaną na kreację, tworzenie nowych wartości. Scena, teatr nie jest iluzją życia, jest czasoprzestrzenią, jest czymś nieodmówionym. Jeżeli na scenie jest błoto, to dlatego, że jest to błoto, które sięga duszy bohatera a nie dlatego, że scenograf czy reżyser wpadli na taki pomysł.

— Akropolis, Łaźnia, Zamek, Faust, Witkacy, Gułgutiera, Replika, Dante — to kilka ważnych stacji pana teatralnych podróży, spotkania ludzi pochodzących z różnych epok i posiadających różne doświadczenia. Co ich łączy?

— Są to — jak pan powiada — różne stacje na drodze jednej Golgoty. Każdy jest jedynie na własnej drodze. Bohaterem moich przedstawień jest człowiek, który zmagają się z żywiołami, człowiek między życiem a śmiercią, człowiek stawiający pytania moralne, filozoficzne.

— Są to najczęściej bohaterowie literaccy. Ale pana stosunek do literatury jest dość szczególny. Posługuje się pan techniką montażu tekstów i wedle własnego określenia: „demonuje psychologię utworu a nie jego idee”. Dla niektórych jest to profanacja literatury.

— Ale inni, jak np. Włosi po obejrzeniu mojego „Dantego”,

stwierdzili że właśnie w przeciwieństwie do wielu nadużyć w teatrach w tej materii ja mam głęboki szacunek dla oryginału. Oczywiście nie zawsze znaczy to być wiernym autorowi, bo być może hierarchia i porządek skonstruowany przez niego wymagają po latach rewizji. Czy np. „Makbet” Szekspira to jest sztuka o mordzie politycznym czy sakralnym? Jaką rolę spełniają w nim dzisiaj wróżki i wszystkie mity zawarte w tekście? Jakiego wyboru mam dokonać? Jak zetrzeć się z autorem? A przecież ścieranie się dwóch indywidualności jest bardzo prawdziwą racją w sztuce. Teatr nie może być pustym, polewanym, dekoracyjnym garnkiem. Wolę szczerą dramaturgię niż jego dekoracyjność. Nie możemy ciągle uprawiać tego samego XIX-wiecznego modelu teatru.

— A co z takimi kanonami teatru jak słowo, aktor, kostium, dekoracja?

— Słowo już mnie wiele razy zawiodło. Muszę je widzieć, muszę udowodnić jego rację. Każdy artysta ma w sobie duszyczkę anarchisty i to jest dobrze, bo w ten sposób staje często przed ścianą własnej niemożności. Jeśli jestem człowiekiem teatru, to o tyle, o ile jestem poza teatrem. Stwierdzam np., że między PWST a ASP, między jednym a drugim wykształceniem, jest wielka odległość czasu, przestrzeni, mentalności. ASP rozwija wyobraźnię, PWST posługuje się językiem: „ładne”, „brzydkie” i to pięknoduchostwo nie przystaje do mojego sposobu myślenia. Nie uważam, że jestem od tego żeby podstawiać zielone albo czerwone foteliki pod pupki mniej lub bardziej urodziwych aktorek czy aktorów. Ale nie jest prawdą, że zabijam indywidualności aktorskie. Indywidualności zabić się nie da. Nie zgadzam się z tym, że reżyser musi mieć jeden i ten sam zespół przez całe życie. Miałem zawsze profesjonalny zespół, choć unikałem gwiazdorów, którzy grabili siebie. Przypomnę, że grali w moich przedstawieniach: Marek Walczewski, Bronisław Pawlik, Irene Jun, Antoni Psoniak, Słazek Brudny i wielu innych gwiazdorów.

— Ma pan zapewne świadomość tego, że nie wszyscy pana kochają. Utkwiła mi w pamięci wypowiedź sprzed paru lat jednego z ludzi teatru, który stwierdził, że teatr awangardowy mógł się w Polsce rozwinąć nie tylko dlatego, że objawili się utalentowani twórcy, ale dlatego, że w pewnym momencie nieoficjalny program głównego mecenasa od kultury wobec teatru był taki, żeby preferować wszystko to, co nie ma bezpośredniego związku z zagrożeniem domniemych pryncypiów politycznych. I stąd właśnie — jak dowodził — słabość władz do różnego rodzaju eksperymentów formalnych w teatrze, dzięki którym łatwo było odciągać ludzi od myślenia. Co pan o tym sądzi?

— Jest to wielkie oskarżenie, pod którym mógłbym się częściowo podpisać. Znam wiele przedstawień, w których zamiast teatru

— sztuki, były niefortunne „pomyśły” inscenizatorów. Ale nie można wszystkiego wrzucać do jednego worka. Chciałbym przypomnieć okres mojej działalności w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Z jednej strony dostawałem medale i odznaczenia, z drugiej straszyli mnie za to, że demoralizuję klasę robotniczą formalizmem. A robotnicy przychodzili do teatru. Ci którzy mnie na początku krytykowali, później chwalili. Być może poszukiwania pozostawiają trochę brudów. Ale sztuka w teatrze nie może być za czysta. Ze stopienia się jawy ze snem, z zamyślenia nad różnymi zjawiskami, próby rozszyfrowywania ich — z tego coś powstaje i zostaje. My się boimy rzeczy nowych, kochamy swoje przyzwyczajenia. Jeśli ktoś się koncentruje na tak zwanym wielkim skoku, to nie powinno mu się podkładać nóg. Myśmy sobie ciągle podstawiali nogi. Było dla mnie zawsze wielką przykrością, że większe uznanie znalazłem za granicą. Przeżywałem wiele trudnych chwil i stresowych sytuacji. Jednak moje miejsce jest tutaj, w Polsce.

— W 1971 roku inaugurował pan Teatr Studio w Warszawie przedstawieniem „Witkacy”, które poprzedził pan moltem z Witkiewicza: „W najbardziej potężnych, tragicznych lub wzniosłych chwilach w rozwoju narodów i społeczeństw nie należy zapominać o sztuce, bo ze wszystkich przemijających wartości na naszej planecie ona okazała się najtrwalsza”...

— ...i wciąż podzielam tę wiarę w sztukę zwracając przeciwko wszelkim dehumanizującym aspektom współczesnej cywilizacji, odsłaniającą i piętnującą zagrożenia, ale i budzącą nadzieję. Mam większe zaufanie do Witkacego niż do wielu politycznych przemówień, które są łataniami dziury naszej doradźności. Sięgam do wartości uniwersalnych, staram się wyciągać wnioski z faktu że żyje w XX a nie w XIX wieku, choć nie wolno mi też wykluczyć — jak np. w moim przedstawieniu „Dante” — II wojny światowej i mojego życiorysu. Wielu pisało swój życiorys nie tylko na scenie.

— Minęły trzy lata od pana pożegnania z teatrem. Co pan teraz porabia? Czy było to pożegnanie definitywne?

— Myślę, że ten teatr odbywa się nadal we mnie. Ja go dalej piszę, konfrontuję dokonania z tym, co chciałbym jeszcze zrobić. Nie chciałbym pomnażać i tak już licznej arupy tych, którzy dawno już nie mają nic do powiedzenia. Ja już przez ponad 30 lat powinienem się być wypowiedzieć. Miałem swoje Studio, które zamieniłem na „Centrum Sztuki”. Jak mówi nowe kierownictwo i dyrekcja: „zostawiliśmy nam idee, a to dużo więcej niż program”. Ten program jest rozwijany. Za bardzo zaistniałem wśród ludzi i trzeba sobie teraz stworzyć bunkier własnej odrębności, aby wypracować środki. Maluję, miałem wiele wystaw indywidualnych w Polsce i za granicą. Ciągłe napływają nowe propozycje. Maluję teraz cykl „Mrowisko” — nagromadzenie ludzi, piszę. Robię też „Drabine do nieba”.

— Co to będzie?

— To będzie drabina do nieba z butami zsteopującymi w dół. Każdy ma swoją Jakubową drabinę, która się gdzieś gubi w abstrakcji, choć na ziemi licza się konkrety. Cóż ma zrobić człowiek, który żyje już teraz drugim życiem? A co będzie z trzecim? — porozmawiamy innym razem.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
KAZIMIERZ TARGOSZ